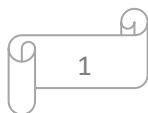


**„Jak diabeł Dybko chciał zostać bakałarzem w Kamionce”
(str. 49 – 52)**

Dawno, bardzo dawno temu, właścicielem Kamionki, będącej podówczas miastem z nadanym przez króla prawem dwóch jarmarków rocznie, był jaśnie pan Prażmowski, mąż zacny i gospodarny. Nic dziwnego, że pod jego ręką miasto się rozwijało, nowych osadników ze świata przybywało, a i dzieciaków sporo się rodziło. Widząc takie powiększenie ludności, żona właściciela, jaśnie pani Prażmowska, białogłowa cnót rozlicznych wielu, umyśliła, że trzeba dla dzieciaków szkołę jakowąś utworzyć. Jednak, żeby powstała szkoła, nawet niewielka, potrzebny jest bakałarz, który by zawiałości czytania i pisania uczył i do nauki odpowiednio nakłaniał. Niestety, ani w Kamionce, ani nawet w okolicy takiego człeka nie było. Byli przede wszystkim rolnicy, byli też tkacze, znani i cenieni z wyrobu płócien oraz samodziałów z owczej wełny, był szewc, dwóch krawców, był domorosty balwierz i baba — zielarka, ale bakałarza ani na lekarstwo. I nie wiadomo, czy taki kandydat mógłby się znaleźć. Frasowała się tym jaśnie pani bardzo, że jej zamysł nie może zostać zrealizowany. Nakazał więc jaśnie pan, aby w czas jarmarku, na dzień świętego Piotra i Pawła na rynku bić w bęben i wszem ogłosić, że poszukuje się kandydata na bakałarza.

Trzeba trafu, że pomiędzy jarmarcznymi wozami i straganami kręcił się diabeł Dybko, bo wiadomo: gdzie ludzisków ciżba większa, tam o zwadę, kłótnię i nawet bójkę sprawa znacznie łatwiejsza, a to dla diabła gratka nie lada. Nie darmo bowiem



starzy ludzie mawiali, że gdzie dwóch się wadzi, tam przede wszystkim diabeł korzysta. Posłyszał tę ogłaszaną nowinę Dybko, zwany w piekle tak, bo tylko dybał na słabości ludzkiej natury, by tym łatwiej do grzechu sprowadzić. Wysłuchał, zatarł kosmate łapska z uciechy i pomyślał:

— Ja tu w tej Kamionce bakałarzem zostanę. A moich uczniów wszystkiego najgorszego nauczę. Nieposłuszeństwa i braku szacunku dla rodzicieli i starszych, zawiści, chytryści, kłamstwa i tego złego, czym się piekło uraduje. Jak pomyślał, tak i uczynił. Przekształcił się szybko w nobliwego mieszczanina, przyoblekł się w stosowne szaty, po czym stanął przed obliczem ławy miejskiej, oczekującej na zgłoszenia.

— Słuchaj mnie doszły, że poszukujecie, szanowni ojcowie tego miasta i ty, panie burmistrzu, kandydata na bakałarza. Otom jest, na wasze usługi.

— A któż ty jesteś, nieznany przybyszu? — zapytał burmistrz — i skąd do nas przybyłeś, bo pewnikiem jesteś nietutejszy.

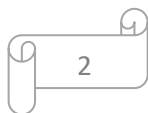
— Prawda — rzekł zapytany. — Przybywam aż z grodu Sandomierzem zwanego, bo tam zamieszkiwałem po powrocie z dalekiej Italii.

— I co w Sandomierzu robiłeś? — zapytał jeden z ławników. — Uczyłem dzieci w tamtejszej szkole, bo mam do tego odpowiednie przygotowanie.

— Toś ty bakałarz?

— Tak, szanowna rado — łgał Dybko, jak najęty, rad, że mu się kłamstwo udało, bo liczył, że się ławnicy jego kandydaturą już zainteresowali.

— A gdzieś ty się tego wyuczył, gdzieś się przygotował?



— W Italii, na tamtejszych najlepszych uniwersytetach, w Bolonii, w Padwie i nawet w Rzymie — łgał diabeł dalej, coraz pewniejszy swego.

— To dokumenta jakieś musisz mieć z tej nauki?

— Nie mam — przyznał Dybko i zorientował się, że palnął głupotę.

— To jakże tak? Nauki zagraniczne skończyłeś, a dowodu na to nie masz? Możesz ty więc nicpoń, oczajdusza, który zwieść nas chce, aby tylko bakałarzem zostać?

— Ależ mam dowody, szanowni panowie ławnicy. Powiedziałem, że nie mam, bo nie wziętem ich ze sobą, ale mam w domu i na wasze życzenie zaraz je tu wyczaruję, to znaczy chciałem powiedzieć, że zaraz przyniosę.

— No dobrze, potem przyniesiesz i pokażesz — zgodził się burmistrz — a teraz zrobimy ci, bakałarzu, mały egzamin. Dziesięcioro boskich przykazań znasz? Bo toć przecie od nich będziesz rozpoczynał naukę naszych dzieci — stwierdził burmistrz.

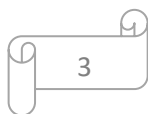
Diabła zatkało. Tego się w najgorszym razie nie spodziewał. Jakie tam znów boskie przykazania i dlaczego ma ich być aż dziesięcioro? Toż on nie zna ani jednego. I co tu robić? Jak wybrnąć, bo praca bakałarza nęci.

— To co? Znasz przykazania, czy nie? Odpowiadaj, panie przybyszu z Italii.

— Z... z... z... — znam — wybełkotał Dybko.

— No, to mów.

— Z... z... zaraz powiem — wyjąkał czart, gwałtownie starając się powiedzieć coś mądrego.



— No, to gadaj wreszcie — zniecierpliwiał się ławnik.

— Ale, panowie, ja uczyłem się ich w Italii po łacinie i dlatego po polsku nie potrafię tego powiedzieć — diabeł odetchnął głęboko, myśląc że się już uratował z trudnej sytuacji. — Więc jeśli, szanowna rado, znacie język łaciński, to wam zaraz wszystkie dziesięć wyrecytuję.

Stropił się burmistrz, stropili się ławnicy, bo czytać i pisać potrafili tylko w ojczystym języku.

— Nie. Na razie nie trzeba — zdecydował burmistrz — ale na jutro zaprosimy naszego księdza proboszcza i przed nim powiesz przykazania, bo on zna łacinę. A teraz powiadaj: znak świętego krzyża znasz? Przeżegnać się potrafisz?

Pozostali egzaminatorzy też zasypali diabła licznymi pytaniami.

— A możeś ty Ormianin, panie przybyszu, albo jaki odszczepieniec od prawdziwej wiary? Tyś nie innowierca przypadkiem?

— Ależ nic podobnego — zarzekał się Dybko. — Anim ja Ormianin, ani nikt taki, co powiadacie.

— To mów nam jeszcze, czy u wielkanocnej spowiedzi w tym roku byłeś?

Diabeł na moment całkiem zamurowało. U spowiedzi? Tego by tylko jeszcze brakowało. Ale ponieważ dalsze pytania się sypały, więc postanowił pomijać wszystkie niewygodne odpowiedzi, a tam gdzie tylko się da, odpowiadać wykrętnie. Jednak egzaminatorzy zasypali Dybka nowymi, coraz trudniejszymi pytaniami.

- Ojczy nasz po polsku powiedzieć potrafisz? — pytał jeden.
- A pozdrowienie anielskie? — to następny.
- A prawdy wiary znasz?
- A o ewangeliście jakimś chociaż słyszałeś? Wiesz, ilu ich było?

Po każdym pytaniu skręcało diabła, jak wyżymaną szmatę. Kurczył się, małał, aż wreszcie spadł z zydła na podłogę i zniknął szanownej ławie z oczu. Zrozumiał burmistrz i ławnicy, że to nie był tylko zwyczajny oszust, ale wysłannik sił piekielnych. Pogratulowali sobie, że wpadli na pomysł z przeegzaminowaniem samozwańczego kandydata i tak wykryli oraz udaremnili jego nieczne zamiary. A bakalarza wkrótce znaleźli w osobie mnicha przybyłego z Krakowa. Podobno po tej historii narodziło się w Kamionce powiedzenie: „Ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni”, ale czy to prawda, mógłby odpowiedzieć tylko znany polski leksykograf, pan Samuel Bogumił Linde, w swoim wiekopomnym słowniku.